



JOANNA BALICKA

Miss

INDEPENDENT

MISS INDEPENDENT #1



Copyright © for the text by Joanna Balicka
Copyright © for this edition by Wydawnictwo NieZwykłe, Oświęcim 2024
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Kamila Reclaw
Korekta: Magdalena Lisiecka, Joanna Kasprzyk, Iwona Wieczorek-Bartkowiak
Skład i łamanie: Mateusz Bartel, Paulina Romanek
Oprawa graficzna książki: Paulina Klimek

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8362-668-0 · Wydawnictwo NieZwykłe · Oświęcim 2024
Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwoniezwykle.pl
✉ niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl
📘 Wydawnictwo NieZwykłe
📷 [wydawnictwoniezwykle](#)
✂ Wyd_Niezwykłe
🎵 [wydawnictwoniezwykle](#)

JOANNA BALICKA

Miss
INDEPENDENT

MISS INDEPENDENT #1



PROLOG

Rok wcześniej...

Bryson

Jakiś dźwięk wyrwał mnie z zamyślenia. Przez cały czas wsłuchiwałem się w odgłos silnikowych wirników. Przez okno zauważyłem, że wylądowaliśmy na prywatnym lotnisku w Queens. Westchnąłem, ze zmęczenia przecierając twarz dłonią. Omiotłem wzrokiem błyszczące ściany wyłożone panelami i skórzane fotele w kremowym kolorze. Odrzutowiec był jak latająca limuzyna – spełniał swoją rolę pod każdym względem.

Wtedy do mnie dotarło, że to już – znowu tu byłem. Powrót okazał się trudniejszy, niż mogłem się tego spodziewać. Nie powinno się rozdrapywać starych ran. Blizny najlepiej zostawić w spokoju. Wspomnienia były jak atrament przypadkiem wylany na puste kartki. Nieważne jak bardzo chciało się go zetrzeć – nie znikał. Co najwyżej powstawały dziury, których nie mogłem załatać. Nie po to przecież tyle pracowałem nad sobą, by teraz rozsypać wszystko jak domek z kart.

To już – powtórzyłem w głowie – wróciłem.

– Jak minęła podróż, panie Scott? – spytał mężczyzna, członek załogi, zbliżając się z moją marynarką.

Podniosłem się z miejsca i rzuciłem mu suche spojrzenie. Wyglądał jak uczeń z pierwszej ławki, ubrany w schludny mundur i dopasowany garnitur. Sprawiał wrażenie osoby, która całe życie czeka na przyjęcie wydawanych rozkazów. Patrząc na mnie wyczekująco, ale gdy robił to już zbyt długo, poczułem

zdenerwowanie. Co niby miałem mu powiedzieć? Że ich stewardesa właśnie obciągnęła mi kutasa w samolocie za sześćdziesiąt milionów, podczas gdy ja piłem whisky droższą od jego miesięcznego wynagrodzenia? Uśmiechnąłem się na tę myśl.

Zauważyłem, że on też się uśmiecha. Musiał pomyśleć, że złagodniałem wobec niego. Nic bardziej mylnego. Ludzie muszą wiedzieć, gdzie jest ich miejsce. Gdy ktoś wychodzi przed szereg i nie trzyma się swoich obowiązków, musi z powrotem zostać włożony niczym puzzle do układanki. Nienawidziłem tracić kontroli i wszyscy z mojego otoczenia doskonale o tym wiedzieli.

Wsunąłem marynarkę na ramiona i zerknąłem na zegarek od Richarda Mille'a. Godzina – tyle trwał lot z Toronto do Nowego Jorku. Pieprzona godzina.

– Wszystko przygotowane? – mruknąłem, ignorując jego pytanie. I tak gównu go to obchodzi, po prostu musi wykonywać swoją pracę.

– Pański konsjerż czeka już przed samolotem. Limuzyna jest przygotowana, zabierze pana bezpośrednio do hotelu Four Seasons, tak jak pan prosił – poinformował, wciskając przycisk, dzięki któremu zwolniła się blokada, a drzwi zostały automatycznie otwarte. – Życzę panu miłego pobytu, panie Scott – dodał z uprzejmym uśmiechem.

Wyraz jego twarzy zmienił się w przeciągu sekundy. Zignorowałem go. *Miłego pobytu, kurwa mać*. Prychnąłem, potrząsając głową.

Wyjątkowo ponury poranek w Queens prześmiewczo oddawał moje samopoczucie. Zszedłem po schodach, opuszczając pokład G650. Wtedy usłyszałem dźwięk migawek i już wiedziałem, co jutro zobaczę w gazetach. Ochroniarze eskortowali mnie w krótkiej drodze do podstawionego bentleya. W limuzynie odetchnąłem głęboko i odchyliłem głowę, opierając ją o zagłówek. Miałem załatwiony cichy, pozbawiony tłumy przylot, nie licząc ścigających paparazzi, którzy za moje zdjęcie z powrotu

do Stanów dostaliby gruby hajs. Na szczęście moi agenci zadbali nawet o to, by samolot zasłonił kamerom widok do momentu opuszczenia lotniska.

Prywatność i bezpieczeństwo można kupić za pieniądze. Właściwie to wszystko można załatwić za ich pomocą. Wystarczy wiedzieć, ile i komu zapłacić. Mój agent zajmował się wycofywaniem z Internetu lub gazet każdego artykułu, a czasem nawet całych nakładów, jeśli źle pisano tam o mojej przeszłości. Po powrocie do Nowego Jorku miałem być czysty jak łąza, pokazany od łagodnej i poszkodowanej strony. Ta historia miała zakończyć się szczęśliwie. Ktoś złamał mi serce, więc zacząłem brać, pić i jarać na potęgę. Dochodziło do momentów, w którym piloci musieli zakładać maski tlenowe, bo dym unosił się jak pierdolona chmura nad Houston. Straciłem kobietę, straciłem matkę, pogubiłem się, ale powoli wracałem na szczyt. To materiał godny bestsellerowej książki, za którą można by zgarnąć masę nagród, albo hollywoodzkiego scenariusza, na podstawie którego powstanie film, a tuż po nim posypie się masa Oscarów. Gotówka rządzi wszystkim wokół nas. Mając pieniądze, automatycznie zdobywasz władzę i szacunek.

Nie od dziś wiadomo, że ludzie są naiwni. Kupują wszystko, co się im wciśnie, bez przetwarzania informacji w głowie. Nasza cywilizacja jest podatna na manipulacje, a jeszcze jakby dodać do tego gruby hajs, ludzie przebaczą ci w mgnieniu oka, cały skandal rozejdzie się zaś po kościach. Mało kto będzie wspominał fakt, że Bryson Scott, syn potężnego Stevena Scotta, naćpany na potęgę korzystał z usług brazylijskich prostytutek. Ludzie będą widzieć, że jest wpływowy, no i przecież ma takie dobre serce. Lada moment nagłówki gazet zaczną krzyczeć, że przełałem dwadzieścia milionów dolarów na fundację na rzecz głodujących dzieci. Jakie to miało znaczenie dla kogoś, kto chwilę wcześniej zajał się wędzonym homarem błękitnym czy carpaccio z połędwicy wołowej? Znajdą się też tacy, którzy będą mnie krytykować, widząc z powrotem na szczycie. Zabawne.

Czas spędzony na odwyku potraktowałem jak swoistą nauczkę. Wyciszyłem się, zmieniłem wszystko wokół siebie, łącznie z ludźmi, którzy niegdyś mnie otaczali. Powrót do Stanów był jednak jak wręczenie sobie kluczy do własnej celi więziennej. Pakowałem się w to samo gówno, które kilka lat temu mnie niemal doszczętnie zniszczyło. Ale dziś byłem inny – silniejszy, pewniejszy, wkurwiony do granic możliwości i desperacko głodny sukcesu. Jeśli czegoś będę chciał, zdobędę to szybciej, niż zdążę to wypowiedzieć. Bycie chłodnym skurwysynem to jedna z tych rzeczy, które pozwalały iść na szczyt. Ludzie wykorzystują dobroć, bo każdy jest chciwy i egoistyczny. Oprócz mocnych pleców trzeba też mieć twardą dupę. To także ludzie są motorem tego świata. Światowi liderzy, chroniąc słabszych, sami stają się silniejsi. Naprzód możesz iść tylko wtedy, gdy zapewnisz sobie stabilną sytuację.

Nie wyniosłem chęci powrotu na szczyt z samego pragnienia zwycięstwa, ale z głęboko zakorzonego poczucia obowiązku. Nie mogłem tak po prostu odejść, gdy jako jedyny syn Steve'na Scotta, jednego z najpotężniejszych i najbardziej wpływowych ludzi w Stanach Zjednoczonych, miałem przejąć po nim zwierzchnictwo nad International Finance Center.

– Jesteśmy na miejscu, panie Scott – poinformował Carter, mój konsjerż.

Polubiłem go. Carter nic nie mówił, nic go nie interesowało, przez całą drogę nawet na mnie nie spojrział. Nie zadawał zbędnych pytań, nie udawał, że obchodzi go moja obecność. Po prostu tu był i prowadził bentleya.

Skinąłem głową na znak, że rozumiem. W milczeniu opuściliśmy limuzynę, która zatrzymała się na tyłach Four Seasons i w eskorcie ochroniarzy wszedłem do hotelu. Wejście głównymi drzwiami byłoby zbyt ryzykowne. Nie chciałem trafić na ludzi z kamerami, a tym bardziej nie potrzebowałem hucznego powitania. Chciałem w spokoju zająć swój penthouse, odświeżyć się i zaszyc tam aż do południa. O trzynastej miałem spotkanie zarządu.

Zbliżyłem magnetyczną kartę do drzwi. Krótki dźwięk zasignalizował ich otwarcie. Zanim jednak wszedłem do środka, spojrzałem na Cartera, który skierował się w stronę wind.

– Zostaniesz w pokoju obok? – spytałem.

Konsjerż odwrócił głowę, jakby chciał się upewnić, że mówię do niego. Zmarszczył czoło w zaskoczeniu i ponownie się rozejrzał.

– Co miałoby być tego powodem, panie Scott? – spytał zdezorientowany.

Przełknąłem ślinę w milczeniu. Co miałoby być tego powodem?

Nie chcę być sam.

Mówią, że człowiek jest w stanie przyzwyczać się do samotności. A tymczasem to jeden z moich demonów. Nie byłem w stanie zliczyć, ile ich wszystkich mam. Niszczyła mnie każdego dnia, przyćmiewając światłość całkowitą ciemnością – a to z kolei było jak posiłek dla moich koszmarów. Gdzie znajdował się jej limit? Gdzie były granice samotności? Byłem sam podczas odwyku. Byłem też sam, gdy przeżywałem objawy abstynencyjne po odstawieniu narkotyków. Mój organizm domagał się ich tak jak wody, a gdy ich nie dostawałem, wariowałem. Miałem wrażenie, że ktoś mnie dusi, że ktoś próbuje mnie zabić. A kogo możesz poprosić o pomoc, gdy jesteś całkiem sam?

– Chcę, żebyś tu został, na wypadek gdybym cię potrzebował – rzuciłem wypranym z emocji głosem, jak gdyby nie miało dla mnie żadnego znaczenia, jaką decyzję podejmie.

Carter patrzył na mnie przez chwilę w zwątpieniu, a po chwili słabo się uśmiechnął.

– Dobrze, panie Scott. Gdyby mnie pan potrzebował, będę obok – odparł, wskazując głową na drzwi niemal na drugim końcu holu.

Mimowolnie uśmiechnąłem się na jego słowa. Świadomość, że nie będę sam, była dla mnie w tej chwili znacznie ważniejsza niż cokolwiek innego. Pobyt w nowym miejscu, zwłaszcza

po moim powrocie, napawał mnie niepokojem. Westchnąłem, wchodząc do penthouse'u. Wyglądał jak dom, ale to nie był *mój* dom. Zdjąłem buty, rozebrałem się i ruszyłem do łazienki, by wziąć prysznic. Uczucie bycia prześladowanym nie opuściło mnie nawet tutaj. Milion razy sprawdzałem, czy drzwi na pewno zostały zamknięte.

Prysznic znajdował się na środku łazienki, a jego ściany wykonano z przezroczystego szkła. Panel dotykowy miał mnóstwo opcji do wyboru – regulacja temperatury, ciśnienia wody, masaże, bicze wodne, dozownik z mydłem, szamponem, zapachami, olejkami czy innymi pierdołami. Po wejściu na matę poczułem bijące od niej ciepło. Ustawiłem odpowiednie parametry i gdy woda z deszczownicy spłynęła na moje ciało, odchyliłem głowę w tył z błogim westchnieniem.

Moje nerwy były w strzępach, musiałem przynajmniej spróbować je ukoić, pozwalając sobie na chwilowe otępienie, wyłączenie wszelkich zmysłów, poza dotykiem. Stałem tam w bezruchu z dobre dziesięć minut, zanim zacząłem się myć. Wcisnąłem przycisk na panelu, gdy opłukałem się z piany. Odgarnąłem włosy w tył w stylu Davida Beckhama i oparłem obie dłonie na szklanej ścianie. Poczułem dreszcze na wspomnienie o prysznicu z *nią*. Równie szybko, jak przyszła mi na myśl, potrząsnąłem głową i pozbyłem się natręctwa. Nienawiść do *niej* to jedyne czyste uczucie, jakie znam.

Wypełniłem łazienkę parą po rozchyleniu przezroczystych drzwi. Osuszyłem ciało i włosy ręcznikiem, założyłem bokserki i poszedłem do sypialni. Położyłem się na wielkim łóżu i odetchnąłem, prawdopodobnie po raz setny tego dnia. Zanim podłączyłem telefon do hotelowej ładowarki, ustawiłem w nim alarm.

Za każdym razem, gdy zamykałem oczy, umysł ukazywał mi sceny niczym fotografie. Sen był zawsze taki sam – pełen niepokoju, przepełniony wspomnieniami. Mój ojciec potrząsał mną za

ramiona, jakbym nie był dzieckiem, a szmacianą pacynką. Nie wiem, ile miałem lat. Osiem? Dziewięć? W radiu właśnie grali piosenkę Fugees *Killing Me Softly*. Tata był wściekły, a ja nawet nie wiedziałem dlaczego. Nie rozumiałem źródła jego gniewu. Mama krzyczała, by przestał, aż wreszcie wkroczyła do akcji. Odepchnęła go, co spowodowało, że upadłem na sofę. Nie wiedziałem, co się dzieje. Byłem zbyt zszokowany, by płakać, zbyt przerażony, by krzyczeć. Poczułem, jak mama przyciąga mnie mocno do siebie i przeprosza za to, co właśnie się wydarzyło, choć to właściwie nie była jej wina. Mama zawsze przeproszała. Przeproszała za wszystko, co robił ojciec. Starła się wytłumaczyć mi, że tata jest zapracowany i zdenerwował się, gdy zbyt mocno uderzyłem piłką o podłogę. Zabrał mi ją i wyrzucił przez okno, a później wydarzyło się to, co się wydarzyło. Tata był człowiekiem sukcesu, dlatego wpadał w furję, gdy coś nie szło po jego myśli. Poniżał moją matkę, ale ona jakby się tego domagała. Kochała go. Ja też go kochałem. Jako dziecko wiedziałem o rzeczach, o których dzieci nie powinny wiedzieć.

Jeszcze większy gniew ogarnął go wtedy, gdy w cotygodniowym sprawozdaniu szkolnym mieliśmy opisać nasz weekend. Napisałem, że mój tata był na mnie zły i bardzo się zdenerwował, ale mama poprawiła mi humor. Zawsze podtrzymywała mnie na duchu, zabierała do kina. A wtedy powiedziała, że pójdziemy kupić nową piłkę. Mogłem wybrać taką, jaką tylko chciałem – wybrałem zwykłą, do gry w nogę. Nie odstawała od innych. Tak samo jak ja nie lubiłem odstawać od innych. Mieliliśmy więcej pieniędzy, a to sprawiało, że niektóre dzieci uważały mnie za rozpieszczonego bachora. Przestałem przynosić do szkoły zabawki, a po drodze do niej zamieniałem schludny sweterek na luźną bluzę od starszego kuzyna. Kiedy tata wyjął sprawozdanie z mojej książki, wściekł się i zmusił do ponownego napisania pracy. Puenta była bardzo prosta – nie mów nikomu, co się dzieje w domu. Potem musiałem zabrać to do szkoły i wyre-

cytować wyidealizowany obraz mojego życia przed całą klasą. Sztuką było zrobić to dobrze.

Po przebudzeniu czułem się bardziej zmęczony niż przed zaśnięciem. Wyłączyłem alarm w telefonie ze świadomością, że zostało mi jeszcze kilka minut, by poleżeć. Wpatrywałem się w sufit, mrugając oczami. Nie marnowałem czasu na myślenie o tym, co dziś założę, co zjem, co mam do załatwienia – tym zajmowali się moi ludzie. Ja jak obłąkany gapiłem się w sufit i modliłem, by ten dzień skończył się szybciej, niż się zaczął.

Podparłem się na łokciach, a potem usiadłem. Jedenasta trzydzieści – półtorej godziny do spotkania. Wstałem z łóżka i wszedłem do garderoby. Okazało się, że czekał tam już na mnie przygotowany komplet – biała koszula, garnitur od Balmaina, czarne i błyszczące lakierowane buty, granatowy krawat od Hermès, srebrne spinki do mankietów i, cholera, nawet skarpetki stylisty dobrał mi pod kolor. Gdy byłem już ubrany, przejrzałem się w lustrze z mimowolnym uśmiechem. Przypominałem swojego ojca, gdy robił te wszystkie rzeczy, podczas których nie miał czasu być człowiekiem.

– Dzień dobry, panie Scott – usłyszałem, wchodząc do kuchni. Niewysoki mężczyzna w hotelowym uniformie stał z rękoma schowanymi z tyłu i patrzył na mnie z uśmiechem. – Przyniosłem panu śniadanie: espresso oraz naleśnik ze szkockim homarem, rosyjskim kawiozem i truflą Huile Verge z sosem holenderskim, przygotowanym przez naszego szefa kuchni z najserdeczniejszymi pozdrowieniami – recytował z pamięci niczym wierszyk na Dzień Matki, za który zaraz miałyby się rozlać fala braw.

Wykrzywiłem usta, wsuwając dłonie do kieszeni spodni, i spojrzałem na talerz, a potem na hotelowego.

– A normalnych tostów nie było? – rzuciłem od niechcienia.

Mężczyzna wyprostował się na baczność, twarz mu pobladła.

– Och, zaraz mogę sprowadzić tosty, panie Scott. Jeśli da mi pan chwilę... – odparł, pośpiesznie wyjmując telefon z kieszeni.

– Spokojnie, przecież żartuję – odparłem z lekkim rozbawieniem.

Hotelowy zamrugał oczami, pokiwał głową w milczeniu i powolnym krokiem ruszył w stronę wyjścia. Był biały jak ściana i nie pomyliłbym się, twierdząc, że za moment zemdleje.

Po śniadaniu odwiedził mnie fryzjer, który ułożył włosy w quiffa. Umyłem zęby, użyłem ulubionych perfum i, gotowy do wyjścia, chwyciłem za telefon.

Carter czekał na mnie na dole w lobby. Tym razem mieliśmy wyjść głównymi drzwiami, by pokazać się ludziom i zapewnić materiał dla mediów. Plan był prosty: oni dają mi rozgłos, a ja daję im zarobić za uchwycenie mnie na zdjęciach czy filmach.

– Jest pan gotowy, panie Scott? – spytał Carter.

Podniosłem na niego wzrok i nagle zgłupiałem. Cholera. Czy ja byłem gotowy? Musiałem mieć pod kontrolą wszystko, co mogłoby się wydarzyć. Miałem wyjść, przejść przez tłum i dotrzeć do limuzyny. Pokiwałem głową w odpowiedzi, wsuwając okulary przeciwsłoneczne na nos. Wraz z otwarciem drzwi rozległ się masowy dźwięk kliszy i towarzyszące temu krzyki i pytania, na które nie musiałem – ani też nie chciałem – odpowiadać. Okulary ochroniły mnie przed fleszami i cieszyłem się z tego powodu, inaczej przez resztę drogi widziałbym przed oczami białe plamy. Ochroniarze towarzyszyli mi aż do bentleya, a gdy zająłem miejsce, wsiedli do czarnych SUV-ów.

Odetchnąłem i rozpiąłem marynarkę. Carter nic nie mówił i przez to lubiłem go jeszcze bardziej. Wyjąłem telefon i z gryzącej ciekawości wpisałem swoje nazwisko w internetową wyszukiwarkę. Skrolując strony, natknąłem się na kilka artykułów. Nie myliłem się – zdjęcia z lotniska rozlały się niczym fala tsunami na portalach – od plotkarskich po wiadomości dnia.

The New York Times: Bryson Scott – wielki powrót syna biznesu.

Forbes: Długo oczekiwany szczyt w International Finance Center – znamy szczegóły!

USA TODAY: *To już dziś! Steven i Bryson Scott gotowi na twarde negocjacje.*

Zaśmiałem się kpiąco pod nosem. Kto wymyśla takie tytuły?

– Jesteśmy na miejscu, panie Scott – poinformował Carter.

Cholera. To już. Przez przyciemniane szyby mogłem dostrzec strzelisty drapacz chmur, mierzący sto dziesięć pięt. Poczulem niepokój zmieszany z ekscytacją. Nic się nie zmienił. Minęło kilka lat, a wszystko było dokładnie w takim stanie, jak wtedy, gdy byłem tu po raz ostatni. Chłodne, metalowe i podświetlane białymi ledami litery układały się w napis: International Finance Center. Front został zbudowany w całości z tafli szkła, a na dachu zainstalowano panele słoneczne, dzięki czemu budynek IFC był w całości zasilany energią odnawialną.

Cholera... – przełknąłem ślinę – *to już.*

Może jednak nie byłem gotowy? Presja związana z powrotem okazała się cięższa niż sam przyjazd do Nowego Jorku. Zacisnąłem szczękę, chowając na chwilę twarz w dłoniach. *Przechodziliście przez gorsze rzeczy, Scott.* Wejście do IFC w porównaniu z tym wszystkim było jak przejście przez ulicę... tyle że w niestrzeżonym miejscu i przy natężonym ruchu. Kurwa, im dłużej tu siedziałem, tym mniej chciałem wyjść.

Carter wciąż milczał. Byłem mu za to cholernie wdzięczny.

– Dla kogo pracujesz, Carter? – spytałem wreszcie.

Chciałem uwolnić umysł od natłoku myśli. Być może rozmowa z nim sprawiłaby, że poczułbym się lepiej. Mężczyzna spojrział na mnie w przednim lusterku z nutą niepewności wymalowaną w oczach.

– Dla Royal's Travel Enterprise – odparł rzeczowo. Nie kręcił, nie zwodził mnie, od razu odpowiadał na pytania.

– Już tam nie pracujesz – rzuciłem, zsuwając okulary z nosa i ściskając jego czubek.

Carter odwrócił się do mnie i uniósł brwi w zaskoczeniu.

– Jak to? – sapnął ze zmartwieniem w oczach.

– Proste, zostajesz zwolniony – mruknąłem, wzruszając przy tym ramieniem. Gdy tak na mnie patrzył, zmarszczyłem czoło.
– Powiedziałem coś nie tak? – niemal warknąłem.

– Nie, absolutnie, panie Scott – westchnął, potrząsając przy tym głową i oblizując nerwowo usta. – Zrobiłem coś niewłaściwego? Jeśli tak, to przepraszam, nie chciałem w żaden sposób pana urazić, panie Scott – dodał po chwili ciszy.

– Carter... – zacząłem, opierając dłoń na jego ramieniu i poklepując. – Zostajesz zwolniony, bo od dziś pracujesz dla mnie – skwitowałem z nikłym uśmiechem.

Mężczyzna patrzył na mnie jak na głupca, a jego oczy błysnęły tak, jakby znalazł na ulicy milion dolarów w gotówce. Pokiwał głową z uznaniem i odwzajemnił mój uśmiech.

– Cóż, bardzo dziękuję, jest mi...

– Nie przyzwyczajaj się – wtrąciłem, biorąc po chwili głęboki wdech, i wysiadłem z bentleya, a zaraz za mną z czarnych mercedesów wyłonił się ochroniarze, którzy eskortowali mnie aż do wejścia. Z całej czwórki tylko jeden wszedł ze mną do budynku korporacji.

Nic się nie zmieniło, może poza recepcjonistką, która skrywała się za marmurową wyspą. Od razu uderzyła mnie jasność. Przez sufit szerokiego lobby przebiegały szklane panele, które oświetlały korytarz naturalnym światłem. Na lewo było przejście do firmowej kawiarni i restauracji, natomiast po prawej stronie znajdowało się wejście do prywatnego ogrodu, gdzie pracownicy mogli przewietrzyć umysł. W milczeniu ruszyliśmy w stronę wind vis-à-vis wejścia. Podczas wznoszenia się mieliśmy idealny widok na panoramę miasta.

Wysiedliśmy na cholernie dobrze mi znanym dziewięćdziesiątym piętrze. Westchnąłem na widok rozciągającego się korytarza z ułożonymi w szeregach szklanymi biurami. Perłowoczarne

drzwi na samym końcu zawsze wzbudzały we mnie miliony silnych emocji. Pierwszą osobą, którą zobaczyłem, była Harper, asystentka mojej... przekląłem w myślach na wspomnienie o niej. Kobieta zastygła w pół kroku, wpatrując się we mnie w milczeniu. O mały włos nie wypuściła z rąk tableta. Zamknęła go w skórzanym etui i z szerokim uśmiechem ruszyła w moją stronę.

– Panie Scott... – sapnęła, jak gdyby próbowała coś powiedzieć, ale nic nie przyszło jej na język, więc przyciągnęła mnie do przyjacielskiego uścisku. – Jak dobrze pana widzieć – dodała ściszym głosem.

Uśmiechnąłem się na jej słowa, odwzajemniając przytulenie. To takie miłe – wiedzieć, że ktoś na ciebie czeka; że ktoś chciał cię zobaczyć.

– Mój ojciec już tu jest? – spytałem, nie chcąc wdawać się w kłiwą dyskusję.

Harper pokiwała głową, kiedy się odsunęła. Przetarła wilgotne ze wzruszenia policzki i cicho się zaśmiała.

– Tak, od kilku dni jest podminowany, postawił całą korporację na nogi, bo bardzo się przejął pańskim powrotem – odparła, przekrzywiając przy tym głowę z szerokim uśmiechem.

Przytaknąłem w myślach, przewracając oczami. Jasne, że się przejął. Przygotowuje się do odejścia na emeryturę. Przez cały czas u jego boku nabierałem doświadczenia w zarządzaniu firmą. Zanim odszedłem, miałem nawet swoje miejsce w zarządzie jako jeden z dyrektorów. Wspierałem go także wtedy, gdy umarła mama. Nie był sobą, nie funkcjonował prawidłowo, właściwie praktycznie nie istniał.

– Jest w audytorium. – Wskazała na salę konferencyjną, która znajdowała się po prawej stronie. Poklepała mnie po torsie i mrugnęła z uśmiechem. – Powodzenia.

Kiwnąłem głową i odetchnąłem, zanim ruszyłem we wskazanym kierunku. Mój ochroniarz został na korytarzu, kiedy nacisnąłem klamkę masywnych przyciemnianych drzwi. Ze środka

można było zobaczyć, co działo się na zewnątrz, natomiast z zewnątrz nie można było dostrzec nic. Wszyscy odwrócili głowy na mój widok, wszyscy poza *nim*.

Ojciec jako ostatni obrócił się przodem do mnie, a jego chłodne zielone oczy natychmiast mnie sparaliżowały. Wyglądał jak przestarzała wersja mnie. Podobne rysy twarzy, z tym że jego już pomarszczone. Niegdyś czarne włosy przechodziły w popielaty szary. Podkreślająca jego kości policzkowe, świeżo tknięta brzytwą broda łączyła się z wąsami. Nie czyniła z niego dziadka, a dojrzałego mężczyznę w sile wieku. Wciąż był tym potężnym facetem – dokładnie takim, jakim go zapamiętałem.

Uśmiechnął się, przez co prawie go nie rozpoznałem. Przeknąłem ślinę i kiwnąłem mu głową.

– Ojciec...

– Bryson, synu... – Odetchnął, jak gdyby doznał ulgi na mój widok, i podszedł bliżej.

Przyciągnął mnie do uścisku i poklepał po plecach. Powstrzymałem się przed przywołaniem w pamięci chwil, kiedy zadawał mi uderzenia w ramach odbywanych kar. Złapał moją twarz w dłonie i z niewypowiedzianą dumą pocałował mnie w czoło. Kurwa, kto to był? Mój ojciec? Gdybym nie ujrzał wiecznego gniewu wymalowanego w jego oczach, pomyślałbym, że go podmienili. Ojciec nigdy nie powiedział, że mnie kocha. Nie marnował też czasu na zbędne czułości. Nie był jednym z tych rodziców, którzy zabierali dziecko na plac zabaw, nie zbudował mi domku na drzewie, ani też nie bawił się ze mną samochodzikami. On miał od tego ludzi, którzy wykonywali za niego wszystkie ojcowskie obowiązki. Stąd pamiętam Worrena, Benjamina, Roberta... ale mojego ojca gdzieś w tym wszystkim zabrakło. Przeważnie widziałem go w weekendy, o ile nie wyjeżdżał w delegacje. Częściej przebywał poza domem, podróżując od miejsca do miejsca, albo przesiadywał w murach IFC. Był surowy, zdyscyplinowany i porywczy. Zawsze słyszałem od niego, jak to miał ciężko

w życiu, jak okropne było jego dzieciństwo, no i jak wiele musiał poświęcić, by być tu, gdzie jest, wypominając mi przy tym wielokrotnie, że powinienem się cieszyć ze swojego łatwego startu. Widmo korporacji prześladowało nas od pokoleń. Jego dziadek był weteranem wojennym, jego ojciec dzięki zachowanemu majątkowi założył IFC, a on sam przejęcie zwierzchnictwa traktował jak koronację. Obnosił się ze swoją dumą niczym orderem, bo dzięki niemu holding finansowy rozwinął się do międzynarodowej sieci. Nie wliczając kryzysu finansowego z 2007 roku, prosperował tym naprawdę świetnie. Ojciec był cholernie inteligentny, ale jego porywczość krzywdziła najbliższych niczym huragan równający wszystko z ziemią. Jego zielone oczy nigdy się nie uśmiechały. Ale dziś... dziś było inaczej.

– Witamy ponownie, panie Scott – powiedział pan White, otwierając ramiona, i z szerokim uśmiechem przyciągnął mnie do męskiego uścisku. – Niech no ci się przyjrzę – dodał, klepiąc mnie po twarzy i śmiejąc się. – No, prawdziwy mężczyzna – skwitował rozbawiony. Złapał mnie za dłonie i mocno je ścisnął, a następnie poklepał po barku. – Będziesz potęgą – mówił, wtykając palec w mój tors. – Wszyscy na świecie będą wiedzieli, kim jest Bryson Scott. Na dźwięk tego nazwiska będą drżeć jak przed sądem ostatecznym. – Przez cały ten czas nie spuszczał spojrzenia z moich oczu, jakby przewidywał mój los. – Jesteś przyszłością International Finance Center, chłopcze. To trochę jak z żoną, jesteś z nią na dobre i na złe. Czasem będzie cię wkurwiać, będziesz miał jej dość, ale gdy spojrzysz na inne, pomyślisz sobie... cholera, pieprzony szczęściarz ze mnie – dokończył kpiąco i poklepał mnie po plecach.

– Przestań mu zatruwać umysł, White. Chłopak ma się skupić na interesie, a nie na kobietach. – Surowy głos ojca natychmiast przywołał mnie do porządku. I jak na razie tylko mnie.

– Znajdzie czas na wszystko, Steven – westchnął White i przewrócił oczami, a potem znowu na mnie spojrzął. – Twój staruszek

ma nierówno pod sufitem, nie słuchaj go – szepnął, obejmując mnie ramieniem niczym syna, którego nigdy nie miał.

Nie słuchać go? Ojciec był, jaki był, ale niesłuchanie go to głupota. Nie znałem nikogo bardziej zdeterminowanego niż on. Dostawał to, co chciał, gdzie chciał, kiedy chciał i jak chciał. Gdyby zażyczył sobie wielbłąda prosto z Emiratów Arabskich, załatwiliby mu to jeszcze tego samego dnia. Jego obecność roznosiła się donośnym echem, chociaż nic nie mówił. Właściwie nie musiał wypowiadać ani słowa, by być najgłośniejszą osobą w pomieszczeniu.

– A co z Collins Enterprises? – spytałem mężczyznę, marszcząc brwi na wspomnienie o jednym z naszych głównych konkurentów na rynku ekonomicznym. – Harvey nadal jest rekinem biznesu?

– Rekiny mają mózg w kształcie macicy, Brysonie, z niego jest co najwyżej pizda – rzucił poirytowany na samo przytoczenie jego nazwiska, a po chwili uśmiechnął się tak, jakby to nie miało miejsca. – Splajtowali. – Wzruszył ramieniem z rozbawieniem.

Cholera. Zdominowaliśmy ich.

– Żartujesz? – Mogłem się jedynie domyślać, jak bardzo miałem rozszerzone oczy z zaskoczenia.

– Twój starszek ich wykupił – przyznał White z rozbawieniem. – Żebyś widział minę Harveya, gdy Steven podpisał dokumenty! – Jego śmiech odbił się echem w audytorium. Kiwał głową sam do siebie, jakby powiedział przekomiczny żart. – A Steven? Cholera, jeszcze nigdy nie widziałem go tak uśmiechniętego. Cieszył się bardziej niż w dniu, kiedy się urodziłeś. – Wyszczrzył zęby, patrząc na mojego ojca.

Starszy Scott patrzył na White'a jak na idiotę. Właściwie to prawie na wszystkich tak patrzył. Westchnął i z dezaprobatą pokręcił głową. Przywołał mnie ruchem dłoni.

– Brysonie, to jest zarząd IFC – powiedział ojciec, gdy podszedłem bliżej.

Przywołał grupę osób, które stanęły przed nami w szeregu. Sami faceci i jedna kobieta. Kobieta? Z zaskoczeniem spojrzałem na ojca, a następnie na rudowłosą kobiecinę. Mój ojciec był seksistą i nie krył się z tym. Dla niego kobiety były słabe, głupie i przynosiły same szkody. Tak zapamiętał swoją matkę, której osoba trwale odcisnęła piętno w jego psychice.

– Będzie jeszcze szansa się poznać, jutro o dziewiętnastej jest firmowa kolacja w Masa – poinformował, jak zwykle układając mi życie. Stłumiłem chęć przewrócenia oczami. Ojciec wykonał ręką ruch, który wszyscy jednoznacznie zrozumieli. Gdy zostaliśmy sami, odetchnął ciężko i potrząsnął głową. – Jesteś na to gotowy? Gotowy na to wszystko? – spytał.

– Nigdy nie byłem bardziej – odparłem, podnosząc wzrok. – Zmieniłem się, wszystko się zmieniło – przyznałem i przesunąłem językiem po wnętrzu ust, jakbym próbował pozbyć się uczucia irytacji.

Wątpił we mnie. Czuję, że moje słowa nie do końca go przekonały.

– Myślę, że dojrzałeś do niektórych decyzji. Musiałeś dorosnąć szybciej niż twoi durni znajomi i cieszę się, że nie skończyłeś jak oni – mruknął surowym tonem i wykrzywił zniesmaczony usta. – Stworzyliśmy tę firmę od podstaw, pracowaliśmy nad tym od pokoleń i teraz to wszystko spocznie na twoich barkach – dodał, kładąc dłoń na moich ramionach, podczas gdy jego oczy skanowały moją twarz. – Zapytam cię jeszcze raz, jesteś na to gotowy?

– Nie zawiodę cię, ojciec – zapewniłem, na co on prychnął i potrząsnął głową.

– Nie. Wierzę, że nie – przyznał, odsuwając się o krok. – Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Chłód jego oczu niemal przybił mnie do ściany. Nieważne ile lat by minęło, jak silny bym nie był, ojciec był jedyną osobą, która była zdolna mnie zdominować. Z reguły ukrywałem swoje emocje niczym wrażliwe dane wywiadowcze, których wyciek

mógłby doprowadzić do katastrofy na miarę Snowdena. Z reguły tak właśnie było, ale mój ojciec czytał mnie jak otwartą księgę – od deski do deski.

– Zmieniłem się – podkreśliłem to tak wyraźnie, jakbym mówił do trzylatka. – Nie jestem tym samym facetem, co kilka lat temu. Zmieniłem się. Zmieniłem, kurwa, co chcesz ode mnie usłyszeć? – wycedziłem, wyrzucając dłonie w powietrze. – Co mam ci powiedzieć? Nie, nie rozpiardolę firmy, nie roztrwonię kasy i jeśli o to ci chodzi najbardziej, nie wrócę do narkotyków i nie zakocham się, pasuje ci? – warknąłem, chowając dłonie w kieszeniach, i potrząsałem głową. – Chcesz mi układać życie? W porządku. Tylko jeśli coś mówię, zapamiętaj, że nie rzucam słów na wiatr, okej? – Uniosłem wyzywająco brwi, doszukując się czegokolwiek w wyrazie jego twarzy.

Ale nie dostrzegłem niczego poza uśmiechem, w którym rozciągnęły się jego usta. Napięcie między nami było prawie namacalne. Steven nie miał łatwego charakteru. Mierząc się z nim wzrokiem, miałem ochotę go spoliczkować za sam fakt, że we mnie zwątpił po wszystkim, co przeszedłem. Zamiast tego wyszedłem mu naprzeciw. Ten jeden raz nie pozwoliłem mu się psychicznie zdominować. Miał wybuchowy temperament jak C-4 i gdyby chciał, rozniósłby wszystko wokół nas. Jeszcze kilka lat temu milczałbym i poczekał, aż burza minie, ale teraz, gdy stałem z nim twarzą w twarz, czułem się silniejszy i bardziej zdeterminowany.

Ojciec pokiwał głową z uśmiechem i wytknął palec w moją stronę.

– I na taką odpowiedź czekałem – powiedział, a kąciki jego ust nie opadły nawet na milimetr. – Ile złego musiało się wydarzyć, żebyś wyrobił swój charakter. To jest korporacja, synu, a nie plac zabaw. Tutaj każda decyzja ma kurewsko ważne znaczenie. Tu, na Wall Street, decyzje podejmuje się w maksimum sześć sekund. Wybierasz opcję A – twoja firma utonie w długach. Wybierasz opcję B – i może tym razem ci się uda. Ale na tym nie koniec. Pro-

ces cały czas trwa – mówił, podbródkiem pokazując na drzwi. – Dla tamtych ludzi jesteś ważniejszy niż ich własna matka. Wskocz za tobą w ogień, będą robić wszystko, by pomóc ci wejść na szczyt, o ile dobrze ich poprowadzisz – mruknął, a jego wzrok przeniósł się w stronę okien. – A tamci ludzie? Brysonie, dla nich będziesz cholernym wybawicielem. Ludzie będą przychodzić do ciebie z pytaniami oraz oczekiwać odpowiedzi i niezależnie od tego, co im odpowiesz, będą cię kochać za to, że w ogóle zechcesz im pomóc. Ludzie są twoją inwestycją. Jak masz ich za sobą, jesteś w stanie zdziałać więcej, niż możesz sobie wyobrazić. To ludzie są siłą, rozumiesz? – Jego wzrok padł na mnie, a oczy znów były chłodne i pozbawione wyrazu. – A ty masz to, co liderowi jest potrzebne – zimną logikę, pozbawioną ludzkich czynników, a jednocześnie potrafisz stać się cholernie dobroduszny i właśnie dlatego wszyscy będą cię uwielbiać i ufać ci. Będziesz dla nich pieprzonym bohaterem – skwitował wreszcie, klaszcząc przy tym w dłonie i upewniając się, czy aby na pewno go słucham.

Manipulacja – to była jego broń. Był mistrzem manipulacji. Niestety, świat działał w taki sposób, że każdy miał swojego lidera. Bycie liderem to nie tylko posiadanie swojego stołka i długopisu z wygrawerowanym nazwiskiem. To przejęcie kontroli, gdy ludzie cię potrzebują. Naprawiasz to, co spieprzyli, dając im jednocześnie wiarę w lepsze jutro. Obsesyjna pogoń za pieniędzmi jest oznaką słabych ludzi. Nie musisz nikomu udowadniać, że masz władzę, ludzie sami wyczuwają, że dominujesz. Byłem gotowy, by stawić czoła wszelkim decyzjom, które zostaną zmuszony podjąć. Byłem zerojedynkowy, bezkompromisowy i głodny sukcesu.

Nazywam się Bryson Scott i jestem prezesem International Finance Center.